



Gustave Aimard
PRZYGRANICZNI GRABIEŻCY

Drugi tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”



57

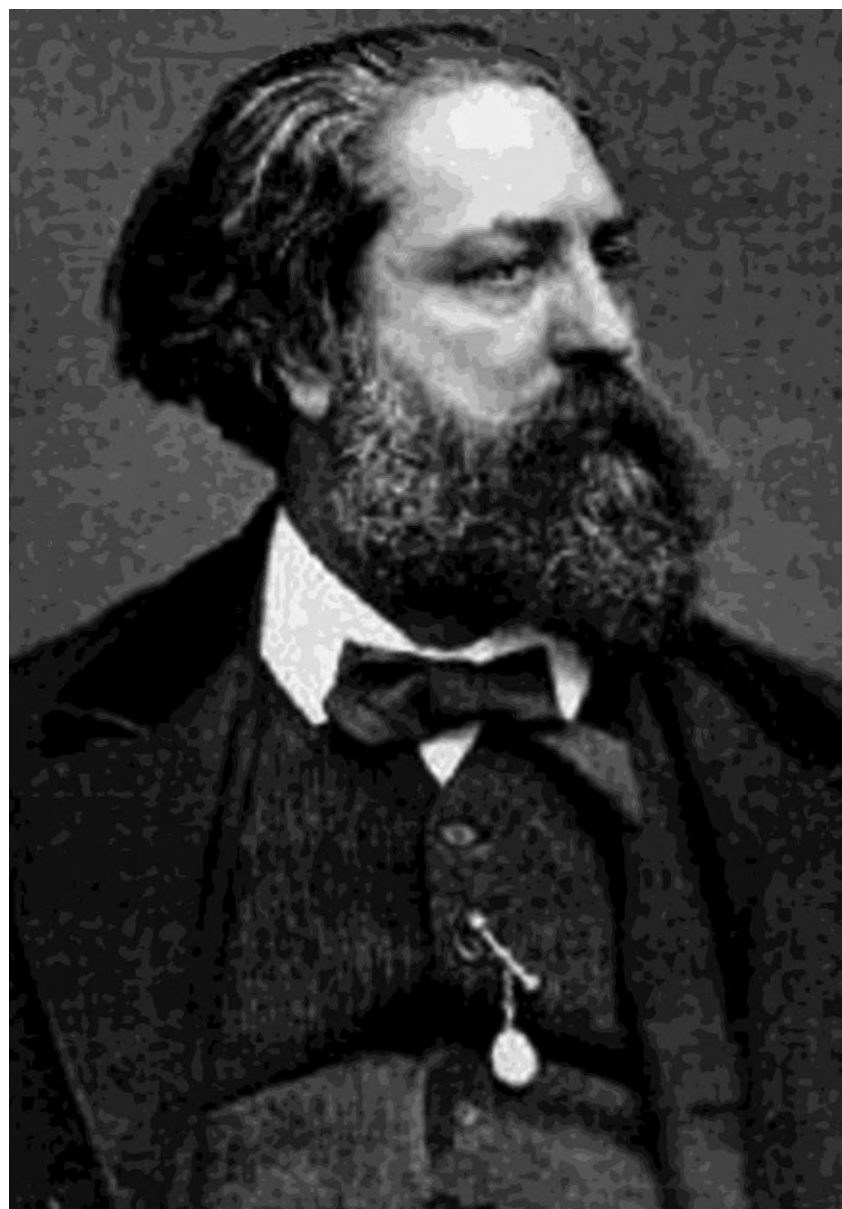
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)

ISBN 978-83-67876-69-8 tom 2)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gustave Aimard

PRZYGRANICZNI GRABIEŻCY



Gustave Aimard (właśc. Olivier Gloux) urodził się 13 września 1818 roku w Paryżu, zmarł 20 czerwca 1883 roku w paryskim przytułku św. Anny, do którego trafił pod koniec życia jako biedny, schorowany człowiek, uznany przez otoczenie za szaleńca.

Był autorem powieści przygodowych, jednym z najpłodniejszych i najpopularniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.

Biologiczni rodzice porzucili go, został adoptowany przez rodzinę Gloux. Oficjalnie nazywał się Olivier Gloux, ale sam używał imienia Gustave. W wieku dziewięciu lat uciekł z domu i zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Młodzieńcze lata spędził w Ameryce Południowej, m.in. w Patagonii, później trafił do Ameryki Północnej, gdzie wiódł życie pełne przygód i parął się różnymi profesjami, był myśliwym, traperem, poszukiwaczem złota. W 1835 roku zaciągnął się do wojska, ale po kilku latach zdezerterował. Podróżował po Europie, Turcji, Kaukazie i obu Amerykach.

Po powrocie do Francji poświęcił się pisaniu powieści przygodowych. Szczególnie upodobał sobie opowieści o amerykańskim Zachodzie, które opierał na swym bogatym doświadczeniu i licznych wspomnieniach. W ciągu dwudziestu pięciu lat spod jego pióra wyszło około sześćdziesięciu powieści. Do najbardziej znanych należą *Traperzy z Arkansas* (1858) i *Bandyty z Arizony* (1882) oraz duży cykl *Władcy Oceanu*. Początkowo jego powieści publikowano w czasopismach takich jak „Le Moniteur”, „La Presse”, „Le Voleur” i „La Liberté”. Jego książki doczekały się we Francji licznych wznowień i adaptacji, także teatralnych.

Powieści Gustave’a Aimarda opisują losy mieszkańców Ameryki Północnej na tle kolonialnych ambicji wielkich europejskich mocarstw i postępującego procesu znikania populacji Indian. Autor chętnie sięga po postaci gońców leśnych, traperów i myśliwych, ludzi pogranicza stanowiących łącznik między europejską cywilizacją a światem Indian. Główni bohaterzy jego powieści to ludzie o europejskich korzeniach, niezależni i odważni, wyznający zachodnie wartości moralne, ale prowadzący indiański styl życia.

Gustave Aimard



PRZYGRANICZNI GRABIEŻCY

Drugi tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto pięćdziesiąta siódma publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty siódmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Les Rodeurs de Frontières

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2025

30 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych: H. Geffroy
zaczepniętych z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)
ISBN 978-83-67876-69-8 (tom drugi)

Rozdział I

Zbieg

 ogromne dziewicze lasy, które niegdyś pokrywały ziemię Ameryki Północnej, coraz bardziej zanikają pod ciosami siekier amerykańskich osadników i pionierów, których nienasycona aktywność przesuwa granice pustkowi coraz dalej i dalej na zachód.

Prężnie rozwijające się miasta, dobrze zaorane i starannie obsiane pola zajmują teraz regiony, gdzie jeszcze dziesięć lat temu rosły nieprzeniknione lasy, których wiekowe konary przepuszczały tylko słabe światło słoneczne i których niezbadane głębiny stanowiły schronienie dla wszelkiego rodzaju zwierząt i służyły jako kryjówki dla hord koczowniczych Indian, a ich wojownicze obyczaje często sprawiały, że wojenne okrzyki rozbrzmiewały pod tymi majestatycznymi kopułami zieleni.

Teraz lasy padły, a ich tajemniczy mieszkańcy, stopniowo wypierani przez cywilizację, która bezlitośnie ich ściga, krok po kroku uciekali przed nią, szukając bezpieczniejszych schronień w oddali, zabierając ze sobą kości swoich ojców, aby nie zostały wykopane i zbezczeszczone przez bezlitosne żelazo pługa białego człowieka wytuczającego długą i produktywną brudę na ich dawnych terenach łowieckich.

Czy to ciągle wylesianie i oczyszczanie kontynentu amerykańskiego jest złem? Nie, z pewnością nie, wręcz przeciwnie; postęp, który idzie krokiem olbrzyma i zmierza w ciągu stulecia do przekształcenia gleby Nowego Świata¹, budzi naszą sympatię; nie możemy jednak oprzeć się poczuciu bolesnego współczucia dla tej nieszczęsnej rasy, brutalnie wyjętej spod działania prawa, ściganej bez litości ze wszystkich stron, malejącej każdego dnia i skazanej na rychłe zniknięcie z tej ziemi, której ogromne terytorium pokryło niezliczonymi plemionami nie więcej niż cztery wieki temu.

¹ *Nowy Świat* – tak nazywano odkrytą przez Kolumba w 1492 roku Amerykę, w odróżnieniu od Starego Świata, tj. Europy, Azji i Afryki.

Być może, gdyby ludzie wybrani przez Boga do wprowadzenia zmian, o których wspomnieliśmy, zrozumieli swoją misję, zamieniliby dzieło rozlewu krwi i rzezi w dzieło pokoju i ojcostwa, a uzbroiwszy się w boskie nakazy Ewangelii, zamiast chwytać za karabiny, pochodnie i szable, udaloby się im doprowadzić do połączenia dwóch ras, białej i czerwonej, i uzyskać wynik bardziej korzystny dla postępu, cywilizacji, a przede wszystkim dla tego wielkiego braterstwa narodów, jakim nikomu nie wolno gardzić, a za które ci zapominający o boskich i świętych przykazaniach, pewnego dnia będą musieli zdać z tego straszny rachunek.

Nie można bezkarnie mordować całej rasy, nie można świadomie kapać się w niewinnej krwi, bez tego, by ta krew w końcu wołała o pomstę, a dzień sprawiedliwości rozbłysnął i nagle rzucił szpadę na szalę między zwycięzcami a pokonanymi.

W czasie, gdy zaczyna się nasza opowieść, to znaczy pod koniec 1812 roku, emigracja nie przybrała jeszcze ogromnych rozmiarów, jakie wkrótce miała osiągnąć; dopiero się zaczynała, że tak powiem, a rozległe lasy, które rozciągały się i pokrywały tak rozległą przestrzeń między granicami Stanów Zjednoczonych a Meksyku, były przemierzane tylko przez ukradkowych handlarzy i gońców leśnych lub deptane cicho mokasynami czerwonoskórych w czasie wielkich wiosennych i jesiennych polowań.

Nasza historia zaczyna się w środku jednego z ogromnych lasów, o których mowa powyżej, dwudziestego siódmego października 1812 roku, około trzeciej po południu.

Pod baldachimem konarów było duszno, ale w tej chwili coraz bardziej ukośne promienie słońca wydłużały wielkie cienie drzew, a wieczorna bryza¹, która właśnie wstała, odświeżyła atmosferę i zabrała roje moskitów² brzęczących i krążyły nad bagnami pośród polan przez cały ranek.

¹ *Bryza* – wiatr poranny lub wieczorny, powstający wskutek nierównomiernego nagrzewania się powierzchni lądu i morza; w nocy wieje znad lądu, w dzień znad morza.

² *Moskity* (*Phlebotominae*) – podrodzina owadów z rzędu muchówek obejmująca około 300 gatunków; są to ciepłolubne i drobne (od 1,2 do 4 mm) owady, mają bardzo

To było nad brzegiem nieznanego dopływu rzeki Arkansas. Łagodnie opadające drzewa na obu brzegach tworzyły grubą kopułę zieleni nad jego wodami, ledwo marszczonymi przez kapryśną bryzę. Tu i ówdzie różowe flamingi i białe czaple, usadowione na długich nogach, łowiły posiłek z tym beztroskim lenistwem, które ogólnie charakteryzuje rasę wielkich szczudłonogich¹; ale nagle zatrzymały się, wyciągnęły szyje do przodu, jakby nasłuchiwały jakiegoś niezwykłego hałasu, po czym poczęły szybko biec, by złapać wiatr i wzbicie się w powietrze z okrzykami przerażenia.

Nagle rozległy się strzały, powtórzone przez echo lasu i padły dwa flamingi.

W tym samym momencie lekka piroga² szybko okrążyła mały przylądek utworzony przez namorzyny wystające z koryta rzeki i ruszyła w pościg za flamingami, które wpadły do wody. Jeden z nich został natychmiast zabity i dryfował w nurcie, ale drugi, najwyraźniej lekko ranny, uciekał z niezwykłą prędkością i energicznie płynął.

Łódź, o której wspomnieliśmy, była indiańską pirogą wykonaną z kory brzozonej usuniętą z drzewa przy pomocy gorącej wody. Znajdował się w niej tylko jeden człowiek. Z leżącej na dziobie strzelby jeszcze ulatywał dym, co wskazywało, że to ten człowiek oddał strzał. Opiszemy tego osobnika, gdyż ma odegrać ważną rolę w całej tej historii.

O ile można było w tej chwili ocenić na podstawie jego pozycji w pirodze, był to mężczyzna bardzo wysokiego wzrostu. Jego nieco

delikatne, gęsto owłosione ciało, długie czułki i długie odnóże; żeńskie osobniki żywią się krwią kręgowców, co jest źródłem roznoszenia chorób, a osobniki męskie odżywiają się sokami roślinnymi; larwy żyją w wilgotnym piasku, mule, rumoszu skalnym, a także norach gryzoni i jaszczurek.

¹ *Szczudłonogi* (szczudłakowate, *Recurvirostridae*) – rodzina ptaków z rzędu siewkowych (*Charadriiformes*); obejmuje gatunki brodzące, zamieszkujące południową Eurazję, Amerykę Północną, Afrykę i Australię; charakteryzują się średnią wielkością, długimi lub bardzo długimi nogami, długim, prostym lub wygiętym dziobem, kontrastowym, z reguły czarno-białym ubarwieniem; żywią się drobnymi bezkręgowcami zbieranymi podczas brodzenia; potrafią pływać.

² *Piroga* – niewielka płaskodenna łódź napędzana wiosłem o jednym piórze (pagajem); jej budowa umożliwia pływanie po bardzo płytkiej wodzie i łatwe wyciąganie łodzi na brzeg; także rodzaj łodzi wyłobionej z pnia jednego drzewa.

mała głowa przytrzymywana była energiczną szyją do ramion o niezwykłej szerokości; przy każdym ruchu były widoczne na jego ramionach mięśnie twarde jak liny. Krótko mówiąc, cały wygląd tego osobnika wskazywał na ponadprzeciętną siłę.

Twarz, oświetlona dużymi niebieskimi oczami błyszczącymi sprytem, miała wyraz szczerości i lojalności, który był przyjemny na pierwszy rzut oka i był uzupełniony regularnymi rysami oraz szerokimi ustami i igrającym na nich wiecznym uśmiechem dobrego humoru. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata, chociaż jego brunatna cera zmieniona przez pory roku i gęsta popielato-blond broda, która pokrywała dolną część jego twarzy, sprawiały, że na pierwszy rzut oka wydawał się starszy.

Mężczyzna ten nosił pełny ubiór gońca leśnego, strój zbyt malowniczy, by nie opisać go szczegółowo. Czapka ze skóry bobra, którego ogon opadał między jego dwa ramiona, ledwo powstrzymywała gęste pukle połączanych włosów opadających w nieładzie na ramiona; niebieska bluza myśliwska z kaliko, ściągnięta na biodrach pasem ze skóry jelenia, opadała nieco powyżej żyłastych kolan; *mitasse*, rodzaj wąskich spodni, zakrywały jego nogi, a stopy były chronione przed jeżynami i ukąszeniami gadów przez indiańskie mokasyny.

Miał przewieszoną z prawego ramienia na lewe biodro myśliwską torbę wykonaną z garbowanej skóry i jak u wszystkich odważnych pionierów z dziewiczych lasów, jego broń składała się z dobrej strzelby z Kentucky¹, noża z prostym ostrzem o długości dziesięciu cali i szerokości dwóch oraz siekiery z żelazem błyszczącym jak lustro. Broń ta, z wyjątkiem oczywiście strzelby, była zawieszona u jego pasa, mieszczącego również dwa rogi bizona pełne prochu i kul.

Wygląd tego człowieka, tak wyposażonego, w tej pirodzie pośród imponującego krajobrazu, miał w sobie coś wielkiego, co przykuwało uwagę i wzbudzało mimowolny szacunek.

¹ *Strzelba z Kentucky* (sztucer z Kentucky, sztucer pensylwański) – skałkowa broń myśliwska, stosowana przez pionierów i traperów u schyłku XVIII wieku; charakteryzowała się małym kalibrem (najczęściej 0,44 cala, czasem jeszcze mniej) oraz gwintowaną, długą lufą; całkowita długość sztucera mogła przekraczać 1,5 m; sztucery z Kentucky osiągały fantastyczną celność, oczywiście jak na tamte czasy; kolby wykonywano z dobrego jakościowo drewna, często zdobiąc je wspaniałymi okuciami.

Goniec leśny, tak właśnie nazwany, to jeden z wielu typów Nowego Świata, który wkrótce całkowicie zniknie w obliczu nieubłaganego postępu cywilizacji.

Gońcy leśni, ci odważni odkrywcy pustkowi, na których spędzili cały swój żywot, byli ludźmi, którzy napędzani duchem niezależności i nieokiełznanym pragnieniem wolności, zrzucili z siebie ciężkie więzy jakimi społeczeństwo krępuje swoich członków, i którzy nie mieli innego celu niż życie i umieranie bez podlegania jakiegokolwiek woli innej niż ich własna, nie kierując się nadzieją na jakiś zarobek, czym bardzo gardzili; porzucili miasta i zdecydowanie wyruszyli w dziewicze lasy. Żyli z dnia na dzień, obojętni na teraźniejszość, nie troszcząc się o przyszłość, przekonani, że Bóg nie zawiedzie ich w potrzebie, i w ten sposób znaleźli się poza prawem zwyczajowym, które lekceważyli, na skrajnej granicy jaka oddziela barbarzyństwo od cywilizacji.

Większość najsłynniejszych gońców leśnych była Kanadyjczykami. W rzeczywistości w ich normandzkim charakterze jest coś odważnego i awanturniczego, co dobrze pasowało do tego rodzaju życia, pełnego dziwnych zwrotów akcji i rozkosznych doznań, których odurzający urok może zrozumieć tylko ten, kto ich doświadczył.

Kanadyjczycy nigdy w zasadzie nie zaakceptowali zmiany narodowości, którą Anglicy próbowali im narzucić; zawsze uważali się za Francuzów, a ich oczy były stale skierowane ku niewdzięcznej ojczyźnie, która porzuciła ich z tak okrutną obojętnością.

Nawet dziś, po tylu latach, Kanadyjczycy zawsze pozostawali Francuzami; ich fuzja z rasą anglosaską jest tylko pozorna. Wystarczyłby najmniejszy pretekst, aby doprowadzić do ostatecznego zerwania między nimi a Anglikami.

Rząd angielski doskonale zdaje sobie z tego sprawę, dlatego wykazuje taką samą pobłażliwość wobec swoich kanadyjskich kolonii, jak wobec innych posiadłości.

We wczesnych dniach podboju ta niechęć (nie śmiemy powiedzieć nienawiści) była tak wyraźna między obiema rasami, że Kanadyjczycy masowo emigrowali, zamiast poddać się jarzmu, które miało zostać na nich nałożone. Ci, będący zbyt biedni, by opuścić swoją ojczyznę

na dobre, zmuszeni do dalszego zamieszkiwania tej ziemi, teraz zrujnowanej przez obcą okupację, wybrali trudne rzemiosło gońców leśnych i woleli przyjąć tę egzystencję w nędzy i niebezpieczeństwie niż wstyd bycia poddanym prawu znieprawionego zdobywcy; Otrząsając kurz z butów na progu ojcowskiego domu, zarzucili strzelby na ramiona i tłumiąc pełne żalu westchnienie wyruszyli, by nigdy nie powrócić, zanurzając się zdecydowanie w nieprzeniknione lasy Kanady, nieświadomie kładąc fundamenty pod pokolenie nieustraszonych odkrywców, z których na początku tej historii przedstawiliśmy jeden z najlepszych i, niestety, jeden z ostatnich typów.

Myśliwy nadal energicznie wiosłował; wkrótce dotarł do pierwszego flaminga, którego wrzucił na dno swojej pirogi, ale drugi sprawił mu więcej kłopotów. Przez jakiś czas trwała walka o prędkość między rannym ptakiem a myśliwym; jednak ten pierwszy stopniowo tracił siły, jego ruchy stały się niepewne, konwulsyjnie uderzał o wodę; cios płaskim pagajem¹ Kanadyjczyka położył kres jego agonii i tak dołączył do swojego towarzysza na dnie pirogi.

Myśliwy, gdy tylko złapał zwierzyne, odłożył pagaj i zaczął ładować strzelbę z ostrożnością, z jaką robią to ci, którzy wiedzą, że ich życie może zależeć od ładunku prochu. Gdy broń była już gotowa, Kanadyjczyk rozejrzał się wokół siebie badawczym wzrokiem.

– Ech! – powiedział po chwili, mówiąc sam do siebie, co jest nawiązką zwykłe nabytym przez osoby prowadzące samotne życie. – Boże, wybac mi, myślę, że dotarłem na miejsce spotkania, nie podejrzewając tego. Nie mylę się, tam po prawej są dwa przewrócone dęby wierzbolistne², leżące jeden na drugim, niedaleko tej skały, która wystaje ponad wodę; ale co to jest? – zawołał, pochylając się i odbezpieczając strzelbę.

Nagle w gęstwinie lasu rozległo się wściekłe ujadanie kilku psów, krzaki rozchyliły się gwałtownie, a na szczycie skały, ku której w tej

¹ *Pagaj* – krótkie wiosło z jednym piórem, trzymane oburącz, używane bez korzystania z dulki.

² *Dąb wierzbolistny* (*Quercus phellos*) – gatunek rośliny z rodziny bukowatych (*Fagaceae*); występuje naturalnie w południowych i wschodnich Stanach Zjednoczonych; rośnie na wydmach oraz brzegach rzek, na terenach nizinnych; drzewo dorasta do 30 m.



Na szczycie skały, ku której w tej chwili zwrócone były oczy Kanadyjczyka,
pojawił się nagle Murzyn.

chwili zwrócone były oczy Kanadyjczyka, pojawił się nagle Murzyn. Człowiek ten, dotarłszy do końca skały, zatrzymał się na chwilę, zdawał się słuchać uważnie i wykazywał oznaki największego poruszenia, ale ta chwila przerwy była krótkotrwała, bo gdy tylko zatrzymał się na kilka sekund, wznosząc oczy ku niebu w rozpacz, rzucił się do rzeki i energicznie popłynął w kierunku przeciwnego brzegu.

Gdy tylko ucichł odgłos upadku Murzyna do wody, na platformę wbiegło kilka psów i rozpoczęło koncert przeraźliwych skowytów. Psy te były dużymi zwierzętami, z wywieszonymi językami, przekrwionymi oczami i najeżoną sierścią, jakby właśnie uczestniczyły w długim wyścigu. Najprawdopodobniej pochodziły od tych strasznych molosów¹, które Hiszpanie przywieźli do Ameryki we wczesnych dniach podboju i wytresowali do polowania na Indian.

Myśliwy skinął kilka razy głową, rzucając litościwe spojrzenie na nieszczęsnego Murzyna, który płynął z tą rozpaczliwą energią dziesięciokrotnie pomnażającą siły, i chwyciwszy pagaj, skierował pirogę w jego stronę z oczywistym zamiarem pomożenia mu.

Gdy tylko rozpoczął ten ruch, z brzegu dobiegł ochrypły głos.

– Och! och! – krzyczał jakiś człowiek. – Cisza, wy diabły wcielone! cisza, na Boga!

Psy wydały z siebie kilka skowytów bólu i nagle zamilkły. Wtedy osobnik, który skarcił psy, krzyknął jeszcze głośniejsze:

– Hej! Tam! Człowieku w pirodze! Hej!

Kanadyjczyk wylądował teraz na przeciwnym brzegu, wyciągnął pirogę na piasek i spokojnie odwrócił się w stronę swojego rozmówcy.

Był to krępy mężczyzna średniego wzrostu, ubrany tak, jak zwykle ubierają się zamożni farmerzy z Ameryki Północnej; jego twarz była brutalna i przebiegła. Obok niego stało czterech osobników, którzy wyglądali na jego służących i nie trzeba dodawać, że cała piątka miała w rękach strzelby.

¹ *Molos* – odmiana dużych psów o potężnej budowie, głównie wykorzystywanych jako pasterskie i stróżujące, hodowane już w starożytnym Rzymie jako psy bojowe, do molosów zaliczane są m.in. buldogi, bokserzy, dogi, rottweilery, bernardyny i nowofundlandy.

Rzeka w tym miejscu była dość szeroka: miała około czterdziestu metrów, co przynajmniej na razie stanowiło całkiem przyzwoitą barierę między Murzynem a ścigającymi go ludźmi.

Kanadyjczyk oparł się o drzewo.

– Czy ty przypadkiem nie odzywasz się do mnie? – zapytał raczej pogardliwym tonem.

– A do kogo, na Boga! – odpowiedział gniewnie pierwszy. – Zatem spróbuj odpowiedzieć na moje pytania.

– A dlaczego miałbym odpowiadać na twoje pytania, proszę ja ciebie? – odparł ze śmiechem Kanadyjczyk.

– Bo ci każę, łotrze, jakim jesteś! – odpowiedział dość brutalnie mężczyzna.

Myśliwy wzruszył lekceważąco ramionami.

– Dobranoc – powiedział i zrobił ruch, jakby chciał odejść.

– Zostań tam, na Boga albo, jak nazywam się John Davis, wpakuję ci kulkę w łeb! – zawołał Amerykanin.

Wymawiając t!ę groźbę podniósł strzelbę do ramienia.

– Ha! ha! – Zaśmiał się Kanadyjczyk. – To ty jesteś John Davis, słynny handlarz niewolników!

– Tak, to ja! – odparł szorstko.

– Wybacz mi, znałem cię tylko z reputacji; do licha, cieszę się, że mogłem cię zobaczyć.

– Dobrze! Skoro już mnie znasz, czy jesteś gotów odpowiedzieć na moje pytania?

– Muszę wiedzieć, jakie one są, więc najpierw je zadaj.

– Co się stało z moim niewolnikiem?

– O kim mówisz? Czy to ten człowiek, który przed chwilą rzucił się do wody z platformy, na której teraz się znajdujecie?

– Tak, gdzie on jest?

– Tutaj, obok mnie.

Faktycznie Murzyn, będąc u kresu sił i odwagi, po desperackiej walce, jaką stoczył podczas bezlitosnego pościgu, którego był obiektem, dowłókł się do miejsca, gdzie znajdował się Kanadyjczyk, i teraz leżał, na pół omdlały, prawie u jego stóp.

Słyszając, jak łowca tak kategorycznie ujawnia jego obecność, z wysiłkiem złączył dłonie i uniósł ku niemu zalaną łzami twarz.

– Och, panie, panie! – zawołał z wyrazem udręki niemożliwym do oddania. – Ratuj mnie, ratuj mnie!

– Ha! ha! – Zaśmiał się John Davis. – Myślę, że możemy się dogadać, mój zuchu, i że nie będziesz żałował wygranej premii.

– Faktycznie nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dowiedzieć się, jak bardzo cenione jest ludzkie mięso w waszej tak zwanej krainie wolności. Powiedz mi, czy ta nagroda jest przynajmniej wysoka? – zapytał z drwiną.

– Dwadzieścia dolarów za zbiegłego Murzyna.

– Phi, to niewiele! – odparł Kanadyjczyk, wysuwając z pogardą dolną wargę.

– Tak uważasz?

– Dalibóg, tak.

– Jest tylko jedna prosta rzecz, o którą cię proszę, abyś ją zarobił.

– Mianowicie o co?

– Związać Murzyna, wsadzić go do pirogi i przywieźć do mnie.

– Bardzo dobrze, to naprawdę nic trudnego; a kiedy już będziesz w twoich rękach, zakładając, że zgodzę się ci go oddać, co zamierzasz zrobić z tym biedakiem?

– To nie twoja sprawa.

– Zgadza się, więc proszę cię tylko o zwykłą informację.

– Zobaczymy, a teraz się zdecyduj, nie mam czasu tracić na czcze gadanie; co mi odpowiesz?

– Co mam ci odpowiedzieć, mistrzu Johnie Davis, tobie, polującego na ludzi z psami, które są mniej okrutne od ciebie i będące ci posłuszne tylko tak, jak uczy je instynkt? Odpowiadam ci tak: jestem lojalnym myśliwym, dla którego wszyscy ludzie, niezależnie od barwy ich skóry, są równi wobec Boga, który stworzył ich wolnymi i nikt nie ma prawa robić z nich zwierząt pociągowych; mówię, że jesteś nędznikiem i że jeśli liczysz na to, że oddam ci twego niewolnika, możesz uznać go za straconego.

– Ach, więc to tak! – zawołał Amerykanin, zgrzytając gniewnie zębami i odwracając się do swoich sług, rzucił: – Ognia do niego! ognia! ognia!

Potem, dodając przykład do polecenia, gwałtownie podniósł *rifle*¹ i wystrzelił. Słudzy poszli w jego ślady, rozbrzmiały teraz cztery strzały i połączyły się w jedną eksplozję, którą echo lasu powtórzyło żałobnym tonem.



¹ *Rifle* (ang.) – strzelba; w języku francuskim określano tak czasami broń produkcji angielskiej.

Rozdział II

Quoniam

 anadyjczyk zbyt długo prowadził życie na pustkowiu, i nie tracił z oczu wszystkich sztuczek i podstępów swoich przeciwników, gdy z nimi rozmawiał, więc kiedy rozległa się salwa zarządzona przez Johna Davisa, to nie przyniosła żadnego efektu, gdyż on szybko zniknął za drzewem, a kule tylko gwizdnęły mu nieszkodliwie obok uszu.

Handlarz niewolników, człowiek o gwałtownym i dumnym charakterze, przyzwyczajony do tego, że wszyscy naginają się do jego woli, był wściekły, że myśliwy tak zachował się na oczach jego sług. Wypowiadał pod jego adresem najstraszliwsze groźby, bluźnił i gniewnie tupał nogą.

Jednak groźby i bluźnierstwa na nic się zdały. Nie było innego sposobu, jak przepłynąć rzekę, co było niewykonalne mając naprzeciw człowieka tak zdecydowanego, jakim wydawał się być myśliwy; nie było sposobu na wywarcie na nim jakiegokolwiek zemsty, a zwłaszcza na odzyskanie niewolnika, którego tak rezolutnie wziął pod swoją opiekę.

Podczas gdy Amerykanin na próżno łamał sobie głowę, by znaleźć sposób na odzyskanie przewagi, zagwizdała kula i strzelba w jego dłoni rozleciała się na kawałki.

– Przeklęty psie! – ryknął z gniewu. – Chcesz mnie zamordować?

– Miałbym do tego prawo – odparł Kanadyjczyk – bo tylko bronię się, podczas gdy ty chciałeś mnie zabić. Jednak wolę załatwić sprawę polubownie, chociaż jestem przekonany, że wyświadczyłbym ludzkości wielką przysługę, wpakowując dwie kule w czaszkę brutalnej bestii, jaką jesteś.

W tym samym momencie drugi pocisk roztrzaskał strzelbę jednego ze sług, który ją przeładowywał.

– Zakończmy to! – zawołał zirytowany Amerykanin. – Czego żądasz?

– Mówiłem ci, panie Johnie Davis – odparł Kanadyjczyk ze śmiechem – że chcę zawrzeć z tobą przyjacielski układ.



– Ech! ech! Uspokój się, Mój Boże, przecież masz tylko sfluczone ramię.
Pomyśl, jak łatwo byłoby mi cię zabić, gdybym chciał.

– Ale na jakich warunkach? Powiedz mi przynajmniej, na Boga!

– Za chwilę, mój panie, nie bądź taki niecierpliwy.

Rifle drugiego sługi została rozwalona, podobnie jak pierwszego.

Z pięciu ludzi, trzech było teraz bez broni.

– Cholera! – wykrzyknął handlarz niewolników. – Zdecydowałeś się brać na cel jednego po drugim?

– Nie, chcę tylko wyrównać szanse.

– Ale...

– To zostało już zrobione.

W tej chwili rozpadła się czwarta strzelba.

– Teraz porozmawiajmy – dodał Kanadyjczyk, pokazując się i opierając na ziemi kolbę strzelby, wcześniej ją nabiwszy.

Wtedy dał znak Murzynowi, by nie ruszał się z miejsca, opuścił swoje schronienie i spokojnie podszedł na sam skraj rzeki.

– Tak, pogadajmy, diable! – zawołał gniewnie Amerykanin.

Błyskawicznym ruchem chwycił ostatnią *rifle* i wycelował, ale zanim zdążył nacisnąć spust, z okrzykiem bólu potoczył się na platformie.

Kula myśliwego roztrzaskała mu ramię.

– Mam nadzieję, że teraz się dogadamy, drogi panie; poczekaj na mnie, już idę – powiedział Kanadyjczyk, wciąż kpiącym tonem.

Przeładował strzelbę, wskoczył do pirogi i po kilku ruchach pagajem znalazł się na drugim brzegu rzeki.

– Widzisz?! – powiedział, wysiadając i podchodząc do Amerykanina, który wił się jak wąż na platformie, krzycząc i przeklinając. – Ostrzegałem cię; chciałem tylko wyrównać szanse, więc nie możesz narzekać na to, co ci się przytrafiło, mój drogi przyjacielu. Wina leży wyłącznie po twojej stronie.

– Pojmać go! Zabić! – krzyczał nędznik ogarnięty niewypowiedzianą wściekłością.

– Ech! ech! Uspokój się. Mój Boże, przecież masz tylko sztuczne ramię. Pomyśl, jak łatwo byłoby mi cię zabić, gdybym chciał. Do diabła! Trzeba było być uczciwym, a ty nie jesteś rozsądny.

– Och, zabiję cię! – zawołał Davis, zgrzytając zębami.

– Nie sędzę, przynajmniej teraz; później nie mówię nie. Ale zostawmy to; zbadam twoją ranę i opatrzę ją gdy będziemy rozmawiać.

– Nie dotykaj mnie! Nie zbliżaj się do mnie, bo nie wiem, do czego się posunę.

Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

– Jesteś szalony – powiedział.

Nie mogąc dłużej znieść swojego stanu rozjątrzenia, handlarz, osłabiony ponadto utratą krwi, na próżno próbował wstać i rzucić się na swojego wroga, ale upadł na wznak i zemdlął, szepcząc ostatnie przekleństwo.

Śludzy byli tak samo pod wrażeniem niespotykanych umiejętności tego dziwnego człowieka, jak i zuchwałości z jaką po rozbrojeniu ich jednego po drugim, przeprawił się przez rzekę, by powrócić i niejako oddać się w ich ręce, bo choć nie mieli już strzelb, wciąż mieli pistolety i noże, nie wspominając o molosach, które nie były wrogami, którymi należało pogardzać i które z wielkim trudem powstrzymywali.

– Panowie – powiedział Kanadyjczyk, odwracając się do służących i marszcząc brwi – proszę wyrzucić spłonki z pistoletów, albo, na Boga, będziemy walczyć.

Śludzy zbyt nie pragnęli wszczynania bójki z myśliwym. Poza tym sympatia, jaką czuli do swego pana, nie była wielka, a przeciwnie, Kanadyjczyk, dzięki szybkiemu sposobowi działania, wzbudził w nich skrajny zabobonny strach; dlatego posłuchali jego nakazu z pewnego rodzaju zapalem, chcieli nawet oddać mu swoje noże.

– To nie jest konieczne – odrzekł ze swoim wiecznie drwiącym uśmiechem. – Teraz zajmijmy się pielęgnacją tego zacnego dżentelmena. Szkoda byłoby pozbawić społeczeństwo osoby godnej uznania, która jest jego najpiękniejszą ozdobą.

Natychmiast zabrał się do pracy, wspomagany przez służących wykonywujących jego polecenia z niezwykłą szybkością i gorliwością, tak bardzo czuli się przez niego zdominowani.

Ze względu na tryb życia, jaki prowadzą, bez żadnej obcej pomocy, wszyscy gońcy leśni posiadają pewien stopień elementarnej wiedzy medycznej, a zwłaszcza chirurgicznej, i w razie potrzeby mogą leczyć złamania lub rany dowolnego rodzaju tak dobrze, jak każdy dyplomowany lekarz, i to za pomocą bardzo prostych środków, zwykle stosowanych z największym powodzeniem przez Indian.

Myśliwy udowodnił umiejętnością i zręcznością, z jaką opatrywał rannego, że skoro wiedział, jak robić rany, to prawie równie dobrze wiedział, jak je leczyć.

Służba patrzyła z rosnącym podziwem na tego niezwyklego człowieka, który zdawał się nagle przejść metamorfozę i działał z pewnością oka i lekkością ręki, czego pozazdrościłby mu niejeden lekarz.

Podczas opatrywania ranny odzyskał przytomność, otworzył oczy, ale milczał; jego wściekłość opadła, brutalna natura została poskromiona przez energiczny opór stawiany przez Kanadyjczyka.

Pierwszy palący ból rany ustąpił – jak to zawsze bywa, gdy opatrunek jest dobrze zrobiony – nieokreślonemu dobremu samopoczuciu. Ponadto, wdzięczny wbrew sobie za odczuwaną ulgę, poczuł, jak jego nienawiść rozpływa się w uczuciu, którego sam nie był jeszcze świadomy, ale które sprawiło, że spojrzał teraz na swojego wroga niemal przyjaźnie.

Aby oddać Johnowi Davisowi należną mu sprawiedliwość, powiemy, że nie był ani lepszy, ani gorszy od któregośkolwiek ze swoich kolegów, podobnie jak on handlujących ludzkim mięsem. Przyzwyczajony do bólu niewolników, którzy dla niego nie byli niczym innym jak istotami pozbawionymi rozumu, słowem towarem, jego serce stopniowo stawało się zrogowaciałe na bolesne emocje. Wszystko, co widział w Murzynie, to pieniądze, które wydał i te, które miał nadzieję zarobić. Jako prawdziwy handlarz bardzo kochał pieniądze, a zbiegły niewolnik wydawał mu się nędznym złodziejem, przeciwko któremu wszelkie środki były dopuszczalne, aby zapobiec stracie.

Jednak ten człowiek nie był nieczuły na wszelkie dobre uczucia. Poza swoim handlem cieszył się nawet pewną dobrą reputacją i uchodził za dżentelmena, innymi słowy za przyzwoitego człowieka.

– Proszę, gotowe – powiedział Kanadyjczyk, spoglądając z satysfakcją na bandaż. – Za trzy tygodnie nie będzie już śladu, jeśli dobrze o to zadbasz, zwłaszcza że dzięki niesamowitemu szczęściu kość nie została naruszona, a kula przeszła tylko przez ciało. Teraz, mój dobry przyjacielu, jeśli chcesz porozmawiać, to jestem gotowy.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – odparł szorstko Amerykanin – poza tym, żebyś oddał mi tego przeklętego łobuza będącego przyczyną kłopotów.

– Jeśli tak dalej pójdzie, to obawiam się, że się nie dogadamy. Dobrze wiesz, że cała ta kłótnia wynikała właśnie z powodu oddania twojego czarnucha, jak go nazywałeś.

– Ale, na Boga, ja nie mogę stracić swoich pieniędzy!

– Jak to, twoich pieniędzy?

– Mojego niewolnika, jeśli wolisz; to dla mnie suma, której nie chcę być pozbawiony, zwłaszcza że od jakiegoś czasu interesy idą bardzo źle i poniosłem znaczne straty.

– To niefortunne i szczerze ci współczuję, chciałbym jednak załatwić tę sprawę polubownie, tak jak ją rozpocząłem – odrzekł Kanaadyjczyk z szyderczą uprzejmością, która była najistotniejszą cechą jego charakteru.

Amerykanin skrzywił się.

– Masz dziwnie przyjazny sposób robienia interesów – powiedział.

– To twój błąd, przyjacielu, że na początku się nie dogadaliśmy, gdyż byłeś zbyt popędliwy.

– Nie rozmawiajmy już o tym; co się stało, to się nie odstanie.

– Masz rację, powróćmy do naszej sprawy. Niestety jestem biedny, inaczej dałbym ci kilkaset piastrow i byłoby po sprawie.

Kupiec podrapał się po głowie.

– Słuchaj – powiedział – nie wiem dlaczego, ale pomimo tego, co się między nami wydarzyło, a może właśnie z tego powodu, nie chciałbym, byśmy rozstali się w złości, zwłaszcza, że szczerze mówiąc, nie przepadam za Quoniamem¹.

– Kto to jest Quoniam?

– Murzyn.

– Och, bardzo dobrze! To zabawne imię, które mu nadałeś; w każdym razie mówisz, że niezbyt ci na nim zależy?

– Na honor, tak.

¹ *Quoniam* (ang.) – kubek (do picia); łac. ponieważ, gdyż.

– Dlaczego więc prowadzisz tak nieustępliwe polowanie z psami i strzelbami?

– Z powodu miłości własnej.

– Och! – rzekł Kanadyjczyk, niedowierzająco kiwając głową.

– Posłuchaj mnie, jestem handlarzem niewolników, prawda?

– Nawiasem mówiąc to bardzo paskudny handel – zauważył łowca.

– Być może, ale nie spieram się o to. Miesiąc temu w Baton Rouge¹ ogłoszono wielką publiczną wyprzedaż niewolników obojga płci należących do bogatego dżentelmena, który nagle zmarł. Pojechałem więc do Baton Rouge. Wśród wystawionych niewolników był Quoniam, młody, dobrze zbudowany, energiczny drań mający śmiałe i inteligentne spojrzenie. Naturalnie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia i chciałem go kupić. Podeszedłem do niego i zadałem mu kilka pytań, na które odpowiedział mi dosłownie jak usłyszysz, co mnie na chwilę zmieszało, przynaję:

„Panie, nie radzę ci mnie kupować, przysięgłem, że będę wolny albo umrę; cokolwiek zrobisz, by mnie powstrzymać, ostrzegam cię, że ucieknę! Teraz możesz zrobić co ci się podoba”.

Ta deklaracja, tak jasna i stanowcza, ubodła mnie. „Zobaczmy” – powiedziałem i poszedłem znaleźć człowieka odpowiedzialnego za sprzedaż. Człowiek ten, który mnie znał, próbował odwieść mnie od zamiaru kupna Quoniam, dając mi wiele powodów, z których każdy był lepszy od poprzedniego, by nie trwać w swoim postanowieniu. Ale mój umysł został zamulony i trzymałem się mocno swej myśli. Quoniam został mi dostarczony za dziewięćdziesiąt piastrow, bajeczną cenę za Murzyna w jego wieku i tak zbudowanego jak on; ale nikt nie chciał go za żadną cenę. Zakułem mojego niewolnika w kajdany i zabrałem go nie do mojego domu, ale do więzienia, aby mieć pewność, że mi nie ucieknie. Nazajutrz, kiedy wszedłem do więzienia, Quoniam uciekł; dotrzymał danego mi słowa.

Po dwóch dniach został schwytany, lecz tego samego wieczora ponownie umknął, choć nie mogłem odgadnąć, w jaki sposób udało mu

¹ *Baton Rouge* – miasto w południowej części Stanów Zjednoczonych, stolica stanu Luizjana oraz siedziba parafii East Baton Rouge. Leży nad rzeką Missisipi, około 120 km na północny zachód od Nowego Orleanu.

się ominąć środki ostrożności, których używałem, aby go zatrzymać. Co mogę powiedzieć? To trwa od miesiąca; tydzień temu znowu uciekł i od tego czasu go szukam. Tracąc już nadzieję, że uda mi się go powstrzymać, ogarnął mnie gniew i wyruszyłem za nim, tym razem z psami gończymi, zdecydowany raz na zawsze skończyć, bez względu na koszty z tym przeklętym Murzynem, wciąż wymykającym mi się z rąk jak wąż.

– Innymi słowy – zauważył Kanadyjczyk, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się relacji handlarza – gdyby został pan doprowadzony do ostateczności, nie zawahałby się pan go zabić.

– Dalibóg, nie, ponieważ ten bezwstydnny łajdak jest tak przebiegły, tak nieustannie ze mnie drwi, że nabrałem do niego wstrętu.

– Posłuchaj z kolei mnie, panie Johnie Davis: nie jestem bogaty, daleko mi do tego. Po co mi złoto czy srebro, człowiekowi pustkowi, któremu Bóg tak hojnie każdego dnia zapewnia pożywienie? Ten Quoniam, tak spragniony wolności i świeżego powietrza, mimowolnie wzbudza we mnie żywe zainteresowanie; chcę spróbować dać mu wolność, do czego tak wytrwale dąży. Oto, co proponuję: w mojej pirodze mam trzy skóry jaguarów i dwanaście skór bobrów, które, gdyby je sprzedać w jakimkolwiek mieście Unii, byłyby warte co najmniej sto pięćdziesiąt do dwustu piastrow; weź je i skończ z tym.

Handlarz spojrział na niego ze zdziwieniem pomieszanym z pewną życzliwością.

– Mylisz się – powiedział w końcu – transakcja, którą proponujesz, jest zbyt korzystna dla mnie i kiepska dla ciebie. Tak się nie robi interesów.

– Co cię to obchodzi? Pomyślałem sobie, że ten człowiek będzie wolny.

– Nie znasz niewdzięcznej natury Murzynów – kontynuował z naciśkiem Davis. – Ten nie będzie ci wcale wdzięczny za to, co dla niego robisz, wręcz przeciwnie, przy pierwszej nadarzającej się okazji być może da ci powód, byś żałował swojego dobrego uczynku.

– To możliwe, ale to jego sprawa, nie proszę go o żadną wdzięczność; jeśli mi ją okaże, tym lepiej dla niego, jeśli nie, dzięki Bogu! Działam zgodnie z moim sercem, moja nagroda jest w moim sumieniu.

– Na Boga! Dobry z ciebie chłopak, wiesz? – wykrzyknął handlarz, już nie panując nad sobą. – Byłoby dobrze, gdybyśmy częściej spotykali ludzi twojego rodzaju. Chcę ci udowodnić, że nie jestem tak niegodziwy, jak można by przypuszczać po tym, co się między nami wydarzyło. Podpiszę umowę kupna Quoniama, a w zamian przyjmę tylko jedną skórę jaguara na pamiątkę naszego spotkania, chociaż – dodał z grymasem, wskazując na swoje ramię – już dałeś mi coś innego, czyż nie tak?

– Zgoda! – wykrzyknął wesoły Kanadyjczyk. – Tylko weźmiesz dwie skóry zamiast jednej, ponieważ zamierzam poprosić cię o nóż, siekierę i *rifle*, która ci została, aby to biedaczysko wypuszczane na wolność (bo teraz jesteś współnikiem mego dobrego uczynku), mogło zapewnić sobie pożywienie. Nie możemy zostawić go gołego i nieuzbrojonego na pustkowiu, bo lepiej byłoby go od razu zabić.

– Niech tak będzie! – wykrzyknął handlarz radosnym głosem. – Skoro ten łotr koniecznie chce być wolny, niech będzie wolny i do diabła z nim. Na Boga! Nie chcę więcej o nim słyszeć.

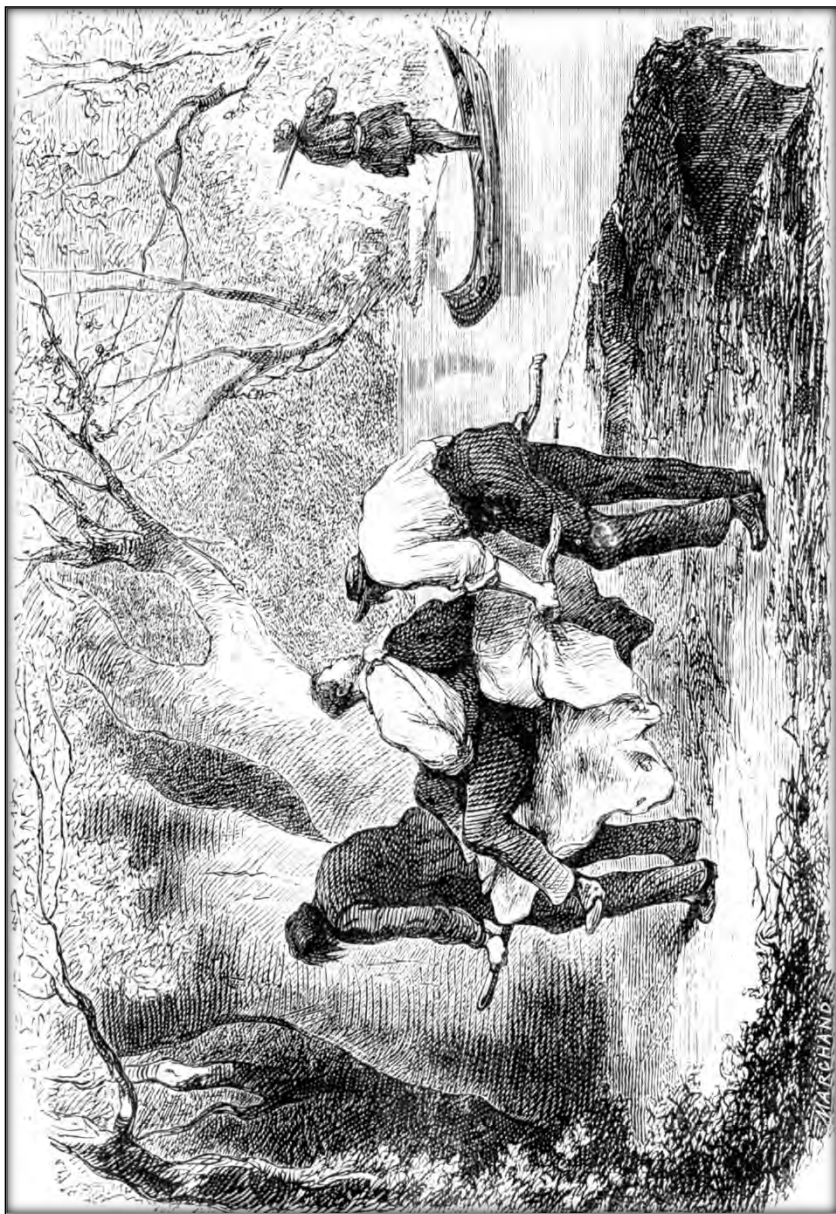
Na znak swego pana jeden ze służących wyciągnął z torby atrament, pióro i papier i na miejscu sporządził nie akt sprzedaży, ale, zgodnie z życzeniem Kanadyjczyka, zgodnie z wszelkimi prawami akt wyzwolenia, na którym kupiec złożył swój podpis tak, jak dał radę, a służący podpisali się jako świadkowie.

– Mój Boże! – wykrzyknął John Davis. – Możliwe, że z biznesowego punktu widzenia zrobiłem z siebie głupca, ale możesz mi wierzyć, lub nie, nigdy nie byłem z siebie tak zadowolony.

– To dlatego, że dzisiaj podążałeś za impulsami swojego serca – odparł tym razem poważnie Kanadyjczyk. – Uwierz mi, ta przyjemność jest warta więcej niż te kilka piastrow, które straciłeś.

Wtedy Kanadyjczyk opuścił platformę, aby przynieść skóry stanowiące cenę wolności biednego niewolnika. Po chwili wrócił z dwiema wspaniałymi, nienaruszonymi skórami jaguarów i wręczył je handlarzowi. Ten, zgodnie z umową, podarował mu broń, dodając nawet do niej koc, ale wtedy myśliwego ogarnęły skrupuły.

– Chwileczkę – powiedział – jeśli dasz mi tę broń, jak sam wrócisz do domu?



— W droge.

– Niech cię to nie martwi – odparł John Davis – gdyż zostawiłem konie i ludzi nie dalej niż trzy mile stąd. Poza tym mamy pistolety, szable i sztylety, które w razie potrzeby możemy użyć.

– To prawda – zauważył Kanadyjczyk – w ten sposób nie masz się czego obawiać, ale ponieważ twoja rana nie pozwoli ci na tak długą podróż pieszo, jeśli pozwolisz pomogę twoim sługom przygotować dla ciebie nosze.

Potem, nie czekając nawet na odpowiedź Johna Davisa, z tą zręcznością, której dał już tak wiele dowodów, Kanadyjczyk w mgnieniu oka zrobił z gałęzi ściętych siekierą nosze, na których położono skóry dwóch jaguarów.

– A teraz żegnaj – powiedział. – Być może już nigdy się nie spotkamy. Rozstajemy się, taką mam nadzieję, w lepszych stosunkach, niż się spotkaliśmy. Pamiętaj, że nie ma tak podłego rzemiosła, by uczciwy człowiek nie mógł go wykonywać z honorem, gdy ma szczerą intencję; gdy twoje serce zainspiruje cię do zrobienia dobrego uczynku, nie bądź głuchy i zrób to bez żalu, bowiem to sam Bóg przemówi do ciebie.

– Dziękuję, twoje słowa wyryły się tam – odpowiedział handlarz, kładąc dłoń na sercu z pewnym wzruszeniem. – Ale jeszcze jedno słowo nim się rozstaniemy.

– Słucham.

– Powiedz mi, jak się nazywasz, abym mógł przywołać wspomnienia o tobie, tak jak ty przywołałeś moje!

– Zgadza się, nazywam się Tranquille¹, moi towarzysze, gońcy leśni nadali mi przydomek Zabójca Jaguarów².

Zanim handlarz otrząsnął się ze zdumienia wywołanego tym nagłym ujawnieniem nazwiska człowieka, którego sława była powszechna na pograniczu, myśliwy, po ostatnim pożegnalnym machnięciu ręką, zeskoczył z platformy, odwiązał pirogę i energicznie pracując pagajem popłynął w kierunku drugiego brzegu.

¹ *Tranquille* – nazwisko znaczące; w j. francuskim oznacza: spokojny, cichy.

² W oryginale: Zabójca Tygrysów, ale w Ameryce Południowej tygrys to lokalna nazwa jaguara (*Panthera onca*).

– Tranquille, Zabójca Jaguarów! – mruknął John Davis, gdy tylko został sam. – Doprawdy, mój dobry geniusz natchnął mnie, by zaprzyjaźnić się z takim człowiekiem!

Przez chwilę pozostawał zamyślony, po czym wyciągnął się na noszach, które dwaj jego służący wzięli na ramiona, i po ostatnim spojrzeniu na Kanadyjczyka wysiadającego w tej chwili na przeciwległym brzegu, powiedział smutnym głosem.

– W drogę.

Wkrótce platforma została opuszczona. Handlarz i jego świta zniknęli pod osłoną lasu, a jedyne, co można było usłyszeć, to coraz cichsze urywane szczekanie psów gończych biegnących przed małą grupą, które wkrótce całkowicie ucichło.



Rozdział III

Czarny i biały

Tymczasem kanadyjski myśliwy, którego nazwisko w końcu poznaliśmy, jak już wspomnieliśmy, dotarł na drugą stronę rzeki, gdzie zostawił Murzyna ukrytego w zaroślach na brzegu.

Podczas długiej nieobecności swojego obrońcy niewolnik mógł z łatwością uciec, tym bardziej, że był prawie pewny, iż nie będzie ścigany przez okres czasu dający mu znaczną przewagę nad tymi, którzy tak uparcie próbowali go schwytać.

Jednak nic takiego nie zrobił – albo dlatego, że myśl o ucieczce nie wydawała mu się wykonalna, albo też, że był zbyt zmęczony, albo z innego powodu, którego nie znamy. Nie ruszył się z miejsca, gdzie w pierwszym momencie szukał schronienia; pozostał ze wzrokiem uparcie utkwionym w platformie, z niepokojem śledząc ruchy znajdujących się na niej ludzi.

John Davis wcale nie przekolorował portretu Quoniamy jaki przedstawił myśliwemu. Był on naprawdę jednym z najwspanialszych okazów afrykańskiej rasy. Miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, był wysoki, proporcjonalnie skrojony, solidnie zbudowany, z szerokimi ramionami, rozwiniętą piersią i dobrze osadzonymi kończynami. Musiał łączyć niezwykłą zręczność z lekkością z nieznównaną siłą. Posiadał delikatne i wyraziste rysy, jego twarz emanowała szczerością, oczy były szeroko otwarte i inteligentne. Wreszcie, chociaż jego skóra miała najdelikatniejszy odcień czerni, a niestety w Ameryce, tej krainie wolności, kolor ten jest nieusuwalnym piętnem niewolnictwa, człowiek ten nie wydawał się stworzony do niewolnictwa tak bardzo, że wszystko w nim zdawało się aspirować do wolności i wolnej woli, którą Bóg dał swoim istotom, a którą ludzie na próżno próbowali im odebrać.

Kiedy Kanadyjczyk wsiadł z powrotem do swojej pirogi, a Amerykanie opuścili platformę, westchnienie zadowolenia podniosło pierś

Murzyna, choć nie wiedząc dokładnie, co zaszło między myśliwym a jego byłym panem, gdyż był zbyt daleko, by słyszeć, co się mówi, rozumiał, że przynajmniej na razie nie ma się już czego obawiać ze strony tego ostatniego. Z gorączkową niecierpliwością czekał na powrót swojego wspaniałomyślnego obrońcy, aby dowiedzieć się, czego teraz musi się obawiać lub na co może liczyć.

Gdy tylko dotarł do brzegu, Kanadyjczyk zepchnął pirogę na piasek i ruszył zdecydowanym, miarowym krokiem w kierunku miejsca, gdzie, jak sądził, znajdzie Murzyna.

Wkrótce zobaczył go siedzącego w niemal identycznej pozycji, w jakiej go zostawił.

Łowca nie mógł powstrzymać uśmiechu satysfakcji.

– Ho! ho! – powiedział. – Mój przyjacielu Quoniam, jesteś tutaj?

– Tak, panie. John Davis powiedział ci, jak się nazywam?

– Jak widzisz, ale co tu robisz, dlaczego nie uciekłeś, gdy mnie nie było?

– Quoniam nie jest tchórzem – odrzekł – by uciekać, gdy inny ryzykuje dla niego życie. Czekałem, gotów się poddać, gdyby bezpieczeństwo białego myśliwego było zagrożone¹.

Zostało to wypowiedziane z prostotą pełną majestatu wskazującą, że rzeczywiście taka była intencja czarnoskórego.

– Dobrze – odparł z emocją Kanadyjczyk – dziękuję ci, intencja była dobra. Na szczęście twoja interwencja była niepotrzebna, zresztą lepiej zrobiłeś, zostając tu.

– Cokolwiek się ze mną stanie, bądź pewny, panie, że będę ci do zgonnie wdzięczny.

– Tym lepiej dla ciebie, Quoniam, bo to mi dowodzi, że nie jesteś niewdzięczny, co jest jedną z najbrzydszych wad, jakimi dotknięta jest ludzkość, ale przede wszystkim zrób mi przyjemność i nie nazywaj mnie już panem, to mnie denerwuje. Słowo pan oznacza poniżający

¹ Nic nie wydaje nam się bardziej absurdalne niż ten konwencjonalny żargon używany przez Murzynów, żargon, który przede wszystkim ma tę wadę, że spowalnia narrację, a ponadto jest fałszywy, co jest podwójnym powodem, dla którego nie używamy go tutaj, choć to gorzej dla lokalnego kolorytu [przypis G. Aimarda].

stan niższości, a więc nie jestem twoim panem, jestem tylko twoim towarzyszem.

– Jakie inne nazwisko mógłby ci nadać biedny niewolnik?

– Moje, na Boga! Nazywaj mnie Tranquille, tak jak ja nazywam cię Quoniam. Tranquille nie jest trudnym nazwiskiem do zapamiętania, jak sądzę.

– Och, zupełnie nie! – odparł Murzyn ze śmiechem.

– Dobrze! To jest uzgodnione, a teraz przejdźmy dalej i najpierw weź to.

Łowca wyjął zza pasa kawałek papieru i podał go czarnoskóremu mężczyźnie.

– Co to jest? – zapytał ten, rzucając niespokojne spojrzenie na papier, którego odczytanie uniemożliwiła mu jego niewiedza.

– Co to jest? – odpowiedział łowca z uśmiechem. – To cenny talizman, który czyni cię człowiekiem jak wszystkich innych i skreśla cię z listy zwierząt, do których do tej pory byłeś zaliczany. Jednym słowem, jest to akt, na mocy którego John Davis, pochodzący z Południowej Karoliny handlarz niewolników, od dnia dzisiejszego daje obecnemu tu Quoniamowi pełną i całkowitą wolność, aby mógł z niej korzystać według własnego uznania, lub, jeśli wolisz, jest to twój akt wyzwolenia napisany przez twojego byłego pana i podpisany przez kompetentnych świadków, którzy staną przy tobie w razie konieczności.

Słyszając te słowa, Murzyn zbłądł tak, jak bledną ludzие z jego kolorem skóry, to znaczy jego twarz nabrała brudnoszarego odcienia, jego oczy rozszerzyły się i przez kilka sekund pozostawał nieruchomy, oszłomiony, niezdolny do wypowiedzenia słowa lub wykonania jakiegokolwiek gestu.

W końcu wybuchnął przeraźliwym śmiechem, podskoczył dwa lub trzy razy do góry z gibkością dzikiego zwierzęcia i nagle załął się łzami.

Myśliwy uważnie śledził ruchy Murzyna, czując się niezwykle zainteresowany tym, co widzi i z każdą chwilą odczuwając coraz większą sympatię do tego człowieka.

– Zatem jestem wolny, zupełnie wolny, prawda? – zapytał Murzyn.

– Zupełnie wolny – odparł Tranquille, uśmiechając się.

– Teraz mogę przychodzić i wychodzić, kłaść się, pracować lub odpoczywać bez niczyjego zatrzymywania, bez strachu przed biczem?

– Dokładnie tak.

– Należę do siebie, tylko do siebie? Mogę działać i myśleć jak inni ludzie? Nie jestem już zwierzęciem pociągowym, które można obciążać lub zaprzęgać; pomimo mojego koloru jestem takim samym człowiekiem jak każdy inny biały, żółty czy czerwony osobnik?

– Takim samym – odparł myśliwy, rozbawiony i zarazem zaintrygowany tymi naiwnymi pytaniami.

– Och! – zawołał Murzyn, chwytając się rękoma za głowę. – Och! więc wreszcie jestem wolny! Wolny...

Wymówił te słowa dziwnym tonem, który sprawił, że łowca zadrżał.

Nagle rzucił się na kolana, złożył dłonie i wzniosł oczy ku niebu.

– Boże mój! – zawołał z akcentem niewysłowionego szczęścia. – Ty, który wszystko możesz, Ty, dla którego wszyscy ludzie są równi i który nie patrzy na ich kolor skóry, aby ich chronić i bronić; Ty, którego dobroć jest tak bezgraniczna jak Twoja moc, dziękuję Ci, dziękuję Ci, mój Boże, za to, że wyprowadziłeś mnie z niewoli i dałeś mi wolność.

Po wypowiedzeniu tej modlitwy będącej wyrazem uczuć kłębiących się w głębi jego serca, Murzyn położył się na ziemi i przez kilka minut pozostawał pogrążony w poważnej refleksji. Łowca uszanował jego milczenie.

W końcu, po kilku chwilach, Murzyn podniósł głowę.

– Słuchaj, myśliwy – powiedział. – Dziękowałem Bogu, tak jak powinienem, za moje wybawienie, bo to On natchnął cię, byś mnie bronił. Teraz, gdy czuję się trochę spokojniejszy i zaczynam przyzwyczajać się do mojego nowego stanu, proszę, opowiedz mi historię tego, co wydarzyło się między tobą a moim byłym panem, abym mógł poznać pełny zakres zobowiązań, które jestem ci winien i abym mógł oprzeć moje przyszłe postępowanie na tych zobowiązaniach. Mów, słucham.

– Nie ma sensu opowiadać ci tej historii, która jest dla ciebie mało interesująca!

– Nie, to mi nie wystarcza; jestem wolny, to prawda, ale jak stałem się wolny? To jest to, czego nie wiem i o co mam prawo cię zapytać.

– Ta historia, powtarzam, nie jest dla ciebie zbyt interesująca, ale mimo to, ponieważ może dać ci lepszą opinię o człowieku, do którego należałeś, nie odmówię ci jej opowiedzenia. Zatem posłuchaj mnie.

Po tym wstępie Tranquille szczegółowo opowiedział o wydarzeniach, jakie miały miejsce między nim a handlarzem niewolników, a gdy wreszcie skończył, zapytał:

– No i co, teraz jesteś zadowolony?

– Tak – odpowiedział Murzyn słuchający go z największą uwagą – i wiem, że po Bogu wszystko zawdzięczam tobie i będę o tym pamiętać; nigdy, bez względu na okoliczności, w jakich się znajdziemy, nie będziesz musiał przypominać mi o moim długu.

– Nie jesteś mi nic winien, a teraz jesteś wolny. Od ciebie zależy, czy wykorzystasz tę wolność tak, jak powinien to zrobić prawy i uczciwy człowiek.

– Postaram się nie okazać się niegodnym tego, co Bóg i ty zrobiliście dla mnie. Szczerze dziękuję również Johnowi Davisowi za dobre uczucie, które skłoniło go do wysłuchania twoich napomnień; być może pewnego dnia będę mógł mu się odwdziaczyć, a jeśli nadarzy się okazja, nie odrzucę jej.

– Dobrze! Lubię słuchać, jak tak mówisz; to dla mnie dowód, że nie myliłem się co do ciebie. Co teraz zamierzasz zrobić?

– Jaką radę mi dasz?

– Twoje pytanie jest poważne i niezbyt wiem jak na nie odpowiedzieć. Wybór profesji jest zawsze rzeczą trudną, trzeba się nad tym dobrze zastanowić, zanim się podejmie jakąkolwiek decyzję w tym względzie; pomimo mojego pragnienia, aby być dla ciebie użytecznym, nie chciałbym ryzykować dawania ci rad, za którymi – bez wątpienia ze względu na mnie – poszedłbyś, a które mogłyby później wywołać u ciebie żal. Poza tym jestem człowiekiem, którego życie od siódmego roku życia upływa na ciągłym przebywaniu w lesie, a zatem jestem zbyt niedoświadczony w tym, co nazywamy światem, by zaryzykować poprowadzenie cię ścieżką o jakiej nie mam pojęcia i której dobrych i złych stron nie jestem świadomy.

– To rozumowanie wydaje mi się całkowicie poprawne, ale nie mogę tu zostać, muszę podjąć decyzję, jakakolwiek by ona nie była.

– Zrób jedną rzecz.

– Jaką?

– Oto karabin, nóż, proch i naboje; pustkowie stoi przed tobą otworem, wyrusz, spróbuj przez kilka dni wolnego życia w wielkiej samotności. Podczas długich godzin polowania zastanowisz się w wolnej chwili nad profesją, którą twoim zdaniem powinieneś się zająć, rozważysz w myślach korzyści, jakie ci oferuje, a kiedy twoja decyzja zostanie podjęta nieodwołalnie, no cóż, odwrócisz się plecami do pustkowi, wybierzesz drogę powrotną do miast, a ponieważ jesteś aktywnym, inteligentnym i uczciwym człowiekiem, jestem pewny, że odniesiesz sukces w każdym zawodzie, który wybierzesz.

Murzyn kilkakrotnie skinął głową.

– Tak – powiedział – są dobre i złe strony tego, co proponujesz, ale nie wszystko jest takie, jak bym chciał.

– Wyłutnierz się jaśniej, Quoniam. Domyślam się, że masz na końcu języka coś, czego nie masz odwagi mi powiedzieć.

– To prawda, nie byłem z tobą szczery, Tranquille, i myliłem się, teraz to przyznaję. Zamiast obłudnie prosić cię o radę, z której nie miałem zamiaru skorzystać, powinienem był powiedzieć ci szczerze, co myślę. To byłoby lepsze od krygowania się.

– Słucham, mów – odparł myśliwy ze śmiechem.

– Cóż, mój Boże, może powiem ci, co leży mi na sercu. Jeśli jest na świecie człowiek, który jest mną zainteresowany, to bez wątpienia ty nim jesteś, więc lepiej, żebym od razu wiedział, na czym stoję. Jedyne profesja mi odpowiadająca to ta gońca leśnego. Mój instynkt i inspiracje popychają mnie w tym kierunku. Wszystkie moje próby ucieczki, gdy byłem niewolnikiem, zmierzały do tego celu. Jestem tylko biednym Murzynem o ciasnym umyśle i ograniczonej inteligencji niemogących właściwie kierować nim w miastach, gdzie ludzie są cenieni nie za to, ile są warci, ale tylko za to, jacy się wydają być. Jaki pożytek przyniosłaby mi ta wolność, z której jestem tak dumny w mieście, gdzie, aby się najęść i ubrać, natychmiast zostałbym zmuszony do jej

alienacji na korzyść pierwszej osoby, która by przyszła i zaspokoila moje najmniejsze potrzeby, których jestem całkowicie pozbawiony? Odzyskałbym wolność tylko po to, by stać się niewolnikiem. Dlatego tylko na pustkowiu mogę skorzystać z tego dobrodziejstwa, jakie jestem ci winien, bez obawy, że kiedykolwiek bieda popchnie mnie do czynów niegodnych człowieka mającego poczucie swojej wartości. Tak więc od teraz chcę żyć na pustkowiu i nigdy więcej nie zbliżać się do miast, chyba że w celu wymiany skór zabitych zwierząt na proch, kule i ubrania. Jestem młody i energiczny, a Bóg, który chronił mnie do tej pory, nie opuści mnie.

– Możesz mieć rację, ale nie mogę winić ciebie, dla którego życie, jakie prowadzę, jest lepsze niż jakiekolwiek inne, za to, że chcesz podążać za moim przykładem. Cóż, teraz, gdy wszystko zostało ustalone i uzgodnione w satysfakcjonujący sposób, rozchodzimy się, dobry Quoniamie i życzę ci powodzenia. Być może spotkamy się jeszcze kiedyś na terytorium Indian.

Murzyn roześmiał się, ukazując dwa rzędy śnieżnobiałych zębów, ale nic nie odpowiedział.

Tranquille przerzucił karabin przez ramię, pomachał dłonią na pożegnanie i odwrócił się, by wrócić do swojej pirogi.

Quoniam chwycił strzelbę zostawioną mu przez łowcę, przypiął nóż oraz przyczepił też rogi z prochem i kulami do pasa, po czym, rozejrzawszy się, by upewnić się, że niczego nie zostawił, ruszył za łowcą, który już dość znacznie się oddalił od niego.

Dogonił go akurat w momencie, gdy Tranquille dotarł do czołna i zabrał się za wpychanie go do wody. Myśliwy odwrócił się na odgłos kroków.

– Czy to znowu ty, Quoniam?

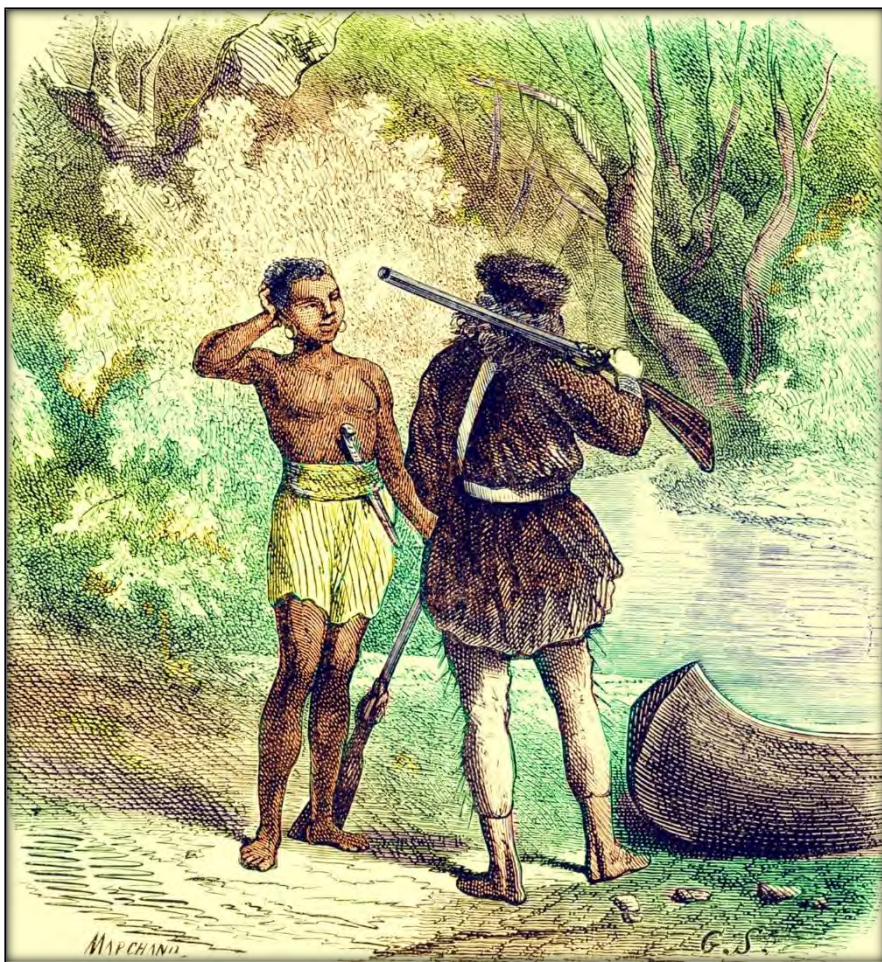
– Tak – odpowiedział Murzyn.

– Co cię tutaj sprowadza?

– No cóż – odparł Murzyn, wsadzając palce w kędzierzawe włosy i drapiąc się wściekle po głowie – zapomniałeś o czymś.

– Ja?

– Tak – odpowiedział z zafrasowaną miną.



– No cóż – odparł Murzyn, wsadzając palce w kędzierzawe włosy i drapiąc się wściekle po głowie – zapomniałeś o czymś.

- O czym?
- Zabrać mnie ze sobą.
- To prawda – powiedział łowca, wyciągając rękę – wybacz mi, bracie.
- Więc zgadzasz się? – zapytał ze słabo skrywaną radością.
- Tak.
- Już nigdy się nie rozstaniemy?
- To będzie zależeć od twojej woli.
- Och, więc będziemy żyć razem przez długi czas – wykrzyknął z radosnym wybuchem śmiechu Murzyn.
- No dobrze, zgoda – odrzekł Kanadyjczyk. – Dwóch ludzi, którzy w siebie wierzą, stanowią dużą siłę na pustkowiu. Bez wątpienia Bóg chciał, byśmy się spotkali. Od teraz będziemy braćmi.

Quoniam wskoczył do łodzi i z radością wziął do ręki pagaj.

Biedny niewolnik nigdy nie był tak szczęśliwy, powietrze nigdy nie wydawało się mu czystsze, natura piękniejsza. Czuł, że wszystko się z nim śmieje i świętuje; od tej chwili miał naprawdę zacząć żyć życiem innych ludzi, bez gorzkich refleksji; przeszłość była już tylko snem. W swoim obrońcy znalazł to, czego tak wielu ludzi na próżno szuka w trakcie długiej egzystencji: przyjaciela, brata, na którym mógł całkowicie polegać i przed którym nie miałby żadnych tajemnic.

W ciągu kilku minut dotarli do miejsca, które Kanadyjczyk zauważył przy swym przybyciu. Miejsce to, wyraźnie oznaczone przez dwa dęby wierzbolistne, które upadły na krzyż jeden na drugi, tworzyło rodzaj małego piaszczystego cypla, sprzyjającego rozbiciu nocnego obozu, ponieważ stamtąd nie tylko można było obserwować bieg rzeki w górę i w dół na dużą odległość, ale także łatwo było mieć oko na oba brzegi i zapobiec zaskoczeniu przez wroga.

– Tutaj spędzimy noc – powiedział Tranquille – i zabierzmy ze sobą pirogę, by osłonić ognisko.

Quoniam chwycił lekką łódź, podniósł ją i kładąc na swoich krzepkich ramionach, zaniósł we wskazane przez towarzysza miejsce.

Od cudownego spotkania Kanadyjczyka i Murzyna minęło jednak sporo czasu. Słońce będące już dość nisko, gdy myśliwy okrążył przy-

lądek i ścigał flamingi, chyliło się ku zachodowi, noc zapadała szybko, a tło krajobrazu zaczynało już tonąć w wieczornych cieniach stojących się coraz gęstszyymi.

Pustkowie budziło się do życia. Co jakiś czas słysząc było hałaśliwe ryki dzikich zwierząt, mieszające się z wyciem rosomaków¹ i szarpanym ujadaniem wilków rudyh².

Myśliwy wybrał do rozpalenia ognia najsuchsze drewno, jakie udało się mu znaleźć, aby nie było dymu, a płomień oświetlał okolicę, dając natychmiastowe ostrzeżenie o zbliżaniu się przerażających sąsiadów, których ryki mogli usłyszeć i których pragnienie wkrótce sprowadzi je ku nim.

Pieczone flamingi i kilka garści pemmikanu (suszone mięso, zmielone na proszek) składały się na kolację awanturników, bez alkoholu, umilaną tylko wodą z rzeki, ale zjedzoną dobrym apetytem i jak ludzie wiedzący jak docenić wartość każdego pożywienia dostarczonego przez Opatrzność.

Kiedy ostatni kęs został przełknięty, Kanadyjczyk po bratersku podzielił się ze swoim nowym towarzyszem zapasem tytoniu i zapalił indiańską fajkę, delektując się nią jak prawdziwy smakosz, a Quoniam sumiennie poszedł za jego przykładem.

– Teraz – powiedział Tranquille – powinienes wiedzieć, że mój stary przyjaciel jakieś trzy miesiące temu umówił się ze mną w tym miejscu; ma przybyć jutro o świcie. Jest on indiańskim wodzem. Choć jest jeszcze bardzo młody, cieszy się wielką reputacją w swoim ple-mieniu. Kocham go jak brata. Wychowaliśmy się razem, że tak po-wiem. Byłbym szczęśliwy, widząc was zaprzyjaźnionych. To mądry i doświadczony człowiek i życie na pustkowiu nie ma dla niego ta-jemnic. Przyjaźń indiańskiego wodza to cenna rzecz dla gońca leśne-go, zapamiętaj to sobie. Poza tym jestem przekonany, że od pierwszego wejrzenia się do siebie przekonacie.

¹ *Rosomak* (grizon, *Galictis vittata*) – drapieżny ssak z rodziny łasicowatych żyjący w Ameryce Południowej; występuje na otwartych terenach trawiastych i w lasach, często w pobliżu zbiorników wodnych

² *Wilk rudy* (Wilk czerwony, *Canis rufus*) – gatunek ssaka z rodziny psowatych, występował we wschodniej części Ameryki Północnej, aż do południowych rejonów wschodniej Kanady; obecnie tylko w rezerwatach.

– Zrobię wszystko, co trzeba. Wystarczy, że ten wódz jest twoim przyjacielem, abym życzył sobie, by był moim. Do tej pory, choć dość długo błąkałem się po lasach jako zbiegły niewolnik, nigdy jeszcze nie widziałem niezależnego Indianina. Możliwe więc, że nieświadomie popełnię jakąś niezręczność, ale możesz być pewny, że to nie będzie moja wina.

– Jestem o tym przekonany, więc nie martw się o to; ostrzegę wodza, który, jak sądzę, będzie równie zaskoczony jak ty, ponieważ przypuszczam, że będziesz pierwszą osobą o twojej barwie skóry, z którą kiedykolwiek się spotkał. Teraz, gdy noc już całkowicie zapadła, musisz być zmęczony uporczywym pościgiem za tobą przez cały dzień i silnymi emocjami, których doświadczyłeś. Prześpij się trochę; będę czuwał za nas obu; jutro prawdopodobnie czeka nas długa wędrówka i musisz być dobrze wypoczęty.

Murzyn zrozumiał trafność spostrzeżeń przyjaciela, zwłaszcza że dosłownie padał ze zmęczenia. Był tak ścigany przez psy gończe swojego byłego pana, że od czterech dni nie zamykał oczu. Odrzucając na bok fałszywy wstyd, wyciągnął się jak długi przy ognisku i niemal natychmiast zasnął.

Tranquille siedział za pirogą, ze strzelbą między nogami, by być gotowym na najmniejszy alarm i pograżył się w poważnych rozmyślaniach, cały czas bacznie obserwując otoczenie i nasłuchując najmniejszego hałasu.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!